

ISABEL ALLENDE

KOBIETY MOJEJ DUSZY

O niecierpliwej miłości,
długim życiu i dobrych wiedzmach

Przełożył Grzegorz Ostrowski

MARGINESY

Mujeres del alma mía

COPYRIGHT © Isabel Allende, 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Grzegorz Ostrowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2022

Panchicie, Pauli, Lori, Manie, Nicole
i innym niezwykłym kobietom,
ważnym w moim życiu

Nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że feministką byłam już w wieku przedszkolnym, jeszcze zanim zetknęła się z tym pojęciem moja rodzina. Urodziłam się w roku 1942, mówimy więc o zamierzchłej przeszłości. Myślę, że przyczyną mojego buntu przeciwko władzy mężczyzn była sytuacja Panchity, mojej matki, którą mąż porzucił w Peru z dwójką maleńkich dzieci i noworodkiem na ręku. To zmusiło ją do szukania schronienia w domu rodziców, w Chile. Tam spędziłam pierwsze lata dzieciństwa.

Dom moich dziadków w Santiago, w dzielnicy Providencia, która wówczas miała zabudowę willową, a dziś jest labiryntem centrów handlowych i biurowców, był wielki i brzydki. Betonowe monstrum o wysokich pokojach, w których hulał wiatr, ze ścianami brudnymi od sadzy z piecyków naftowych, ciężkimi zasłonami z czerwonego pluszu, hiszpańskimi meblami odpowiednio solidnymi, by przetrwały sto lat, okropnymi portretami zmarłych krewnych i stosami zakurzonych

książek. Front domu prezentował się wielkopańsko. Ktoś wyraźnie się starał, by salon, biblioteka i pokój stołowy wyglądały elegancko, ale bardzo rzadko z nich korzystano. Pozostałą część domu stanowiło pełne zamętu królestwo babci, dzieci (moich dwóch braci i mnie), służących, dwóch czy trzech psów nieokreślonej rasy i półdzikich kotów, które rozmnażały się za lodówką bez żadnej kontroli (kucharka topiła potem kociaki w wiadrze na patio).

Wesołość i światło tego domu ulotniły się wraz z przedwczesną śmiercią babci. Wspominam dzieciństwo jako czas lęku i mroku.

Czego się bałam? Że moja matka umrze i trafimy do sierocińca, że porwą mnie Cyganie, że w lustrze pojawi się nagle diabeł i że przytrafią mi się inne tego rodzaju bzdury. Dziś jestem wdzięczna za to nieszczęśliwe dzieciństwo, bo dało mi materiał do pisania. Nie wiem, jak sobie radzą powieściopisarze, których pierwsze lata życia upłynęły beztrąsko w normalnym domu.

Bardzo wczesnie zdałam sobie sprawę z tego, że moja matka znajdowała się w gorszym położeniu niż mężczy członkowie rodziny. Wyszła za mąż wbrew woli rodziców i poniosła porażkę, przed którą ją ostrzegali. Unieważniła małżeństwo, co było jedynym rozwiązaniem w kraju, gdzie rozwody zalegalizowano dopiero w 2004 roku. Nie została przygotowana do podjęcia jakiegokolwiek pracy, nie miała pieniędzy, nie była nie-

zależna. No i stała się przedmiotem złośliwych plotek, bo nie dość, że żyła w separacji z mężem, to w dodatku była młoda, ładna i zalotna.

Macyzm zaczął mnie irytować już w dzieciństwie. Postrzegałam matkę i służbę domową jako ofiary, podwładne bez środków do życia i prawa głosu z powodu zlekceważenia konwenansów w przypadku tej pierwszej, i ubóstwa w przypadku tej drugiej. Oczywiście wtedy tego nie rozumiałam, do takiego wniosku doszłam w wieku pięćdziesięciu lat, w trakcie terapii. Ale chociaż nie umiałam ich racjonalnie wyjaśnić, frustracje, które wówczas przeżywałam, były tak silne, że na całe życie naznaczyły mnie obsesyjnym pragnieniem sprawiedliwości i instynktownym brakiem zgody na macyzm. Tę niechęć uznano za nienormalną nawet w rodzinie, która uważała się za inteligentką i nowoczesną, choć zgodnie z obecnymi kryteriami była, szczerze mówiąc, niczym z epoki kamienia łupanego.

Panchita szukała porady u niejednego lekarza, żeby dowiedzieć się, co mi dolega. Może to kolka albo tasie-miec? Uparty, buntowniczy, trudny charakter, aprobowany u moich braci jako istotny element męskości, u mnie

był stanem chorobowym. Czyż nie tak jest najczęściej? Dziewczynkom odmawia się prawa do wyrażania złości, do tupnięcia nogą. W Chile istnieli psychologowie, może nawet psychologowie dziecięcy, ale w tamtych czasach, zdominowanych przez rozmaite tabu, ich porady były zarezerwowane dla nieuleczalnych szaleńców, a w mojej rodzinie nawet i nie dla nich. Naszych obłąkanych krewnych musieliśmy znosić bez rozgłosu, w tajemnicy. Matka błagała mnie o większą powściągliwość. „Nie wiem, skąd przychodzi ci to do głowy; jeszcze rozniesie się, że jesteś jakimś babochłópcem” – powiedziała mi kiedyś, nie wyjaśniając znaczenia tego dziwnego słowa.

Jej niepokój wydawał się uzasadniony. W wieku sześciu lat wyrzucono mnie ze szkoły prowadzonej przez niemieckie zakonnice za nieposłuszeństwo, a to okazało się dopiero preludium tego, co miało dzieć się ze mną później. Teraz myślę, że tak naprawdę chodziło o to, że Panchita była z prawnego punktu widzenia samotną matką trójki dzieci. To nie powinno wywoływać zgorszenia u zakonnicek, bo w Chile większość dzieci rodzi się ze związków pozamałżeńskich. Ale nie w klasie społecznej, do której należały uczennice tej szkoły.

Przez dziesiątki lat myślałam o swojej matce jako ofierze, ale potem zdałam sobie sprawę, że ofiara to ktoś, kto nie ma kontroli i władzy nad własnym życiem, a to nie był, jak sądzę, jej przypadek. Owszem, matka wyglądała na złapaną w potrzask, bezbronną, czasami zdesperowaną, ale jej sytuacja zmieniła się, kiedy

poznała mojego ojczyrna i oboje zaczęli podróżować. Myślę, że mu się podporządkowała, choć mogła powalczyć o większą niezależność, o to, by żyć tak, jak chciała, i rozwijać swój wielki potencjał. Moja opinia jednak się nie liczy, należę przecież do pokolenia feministek – korzystałam z możliwości, którymi ona nigdy nie dysponowała.

Inną lekcją, jaką wyniosłam z terapii w wieku pięćdziesięciu lat, jest przekonanie, że do mojego buntu przyczynił się z całą pewnością również brak ojca w dzieciństwie. Dużo czasu zajęło mi zaakceptowanie wujka Ramóna – jak zawsze nazywałam mężczyznę, z którym związała się Panchita, kiedy miałam około jedenastu lat – i zrozumienie, że nie mogłam sobie wymarzyć lepszego ojca niż on. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy urodziła się moja córka, Paula. Ojczym, któremu kiedyś wypowiedziałam wojnę, od razu ją pokochał (z wzajemnością), a ja dopiero wtedy zobaczyłam, jak bardzo jest wrażliwy, uczuciowy i dowcipny. Jako nastolatka nienawidziłam go, podważałam jego autorytet, ale ponieważ był niepoprawnym optymistą, nawet tego nie dostrzegłam. Zawsze uważał mnie za przykładną córkę. Nie miał pamięci do złych rzeczy, do tego stopnia, że na stare lata nazywał mnie Angélicą (moje drugie imię) i przestrzegał, żebym spała na boku, bo przygniotę sobie anielskie skrzydła. Powtarzał to do końca swoich dni, kiedy z powodu demen-

cji i zmęczenia życiem stał się cieniem samego siebie sprzed lat.

Z czasem wujek Ramón został moim najlepszym przyjacielem i powiernikiem. Był wesoły, władczy, dumny i maczystowski, choć zaprzeczał temu ostatniemu zarzutowi, argumentując, że nikt nie szanuje kobiet bardziej niż on. Nie udało mi się wytłumaczyć mu do końca, na czym polegał ten jego okropny macyzm. Porzucił żonę, z którą miał czwórkę dzieci, i nigdy nie unieważnił małżeństwa, co pozwoliłoby mu zalegalizować związek z moją matką. Nie przeszkodziło im to w spędzeniu ze sobą prawie siedemdziesięciu lat, początkowo towarzyszyła im atmosfera skandalu i plotek, jednak wraz z upływem czasu ich relacja coraz mniej gorszyła ludzi, bo obyczajnie uległy rozluźnieniu, a ponieważ nie było rozwodów, związki tworzyły się i rozpadały bez udziału biurokracji.

Panchita krzywiła się na jego wady, ale potrafiła docenić zalety. Zaakceptowała rolę zdominowanej żony, choć często była wściekła, że tak bardzo go kocha. I że nie jest w stanie sama wychować dzieci. Utrzymanie i bezpieczeństwo miały swoją cenę.

Nigdy nie tęskniłam za biologicznym ojcem i nie byłam ciekawa, co się z nim dzieje. Zgodę na unieważnienie małżeństwa uzależnił od zwolnienia go z obowiązku utrzymywania dzieci, co wygzekwował tak dalece, że nigdy ich już nie zobaczył. W rzadkich przypadkach, kiedy ktoś z rodziny wymówił jego imię (czego wszyscy unikali), moja matka dostawała ostrej migreny. Powiedziano mi tylko, że był niezwykle inteligentny, bardzo mnie kochał, puszczał mi muzykę klasyczną i pokazywał książki o sztuce, tak że w wieku dwóch lat rozpoznawałam twarze różnych artystów. Rzucił nazwiska: Monet albo Renoir, a ja odnajdowałam ich podobizny na odpowiedniej stronie. Wątpię, by tak było. Nie potrafiłabym zrobić tego nawet teraz, będąc w pełni władz umysłowych. W każdym razie nie pamiętam nic z tych rzeczy – jako że doszło rzekomo do nich, zanim skończyłam trzy lata – natomiast trwały ślad pozostawiła we mnie nagła dezercja ojca. Jak miałam ufać mężczyznom, którzy dziś cię kochają, a nazajutrz postanawiają zniknąć?

To, że moja matka została porzucona, nie było niczym wyjątkowym. W Chile filarem rodziny i społeczności jest kobieta, zwłaszcza w środowisku robotniczym, gdzie ojcowie przychodzą i odchodzą, i często znikają na zawsze, zapominając o dzieciach. Matki zaś są jak drzewa o głęboko zapuszczonych korzeniach. Zajmują się własnymi dziećmi, a kiedy zajdzie potrzeba – również cudzymi. Kobiety są tak silne i tak dobrze zorganizowane, że mówi się, że w Chile panuje matriarchat. Ale choć nawet najgorsi troglodyci powtarzają to bez cienia wstydu, daleko im do prawdy. Mężczyźni mają w rękach władzę polityczną i ekonomiczną, ustanawiają prawa i stosują je według własnego widzimisię, a jeśli to nie wystarcza, interweniuje Kościół, naznaczony piętnem kultury patriarchalnej. Kobiety rządzą tylko w rodzinie... i to czasami.

Niedawno, w trakcie jednego z tych denerwujących wywiadów polegających na bombardowaniu rozmówcy trywialnymi pytaniami i zmuszaniem go do udzielenia błyskawicznych odpowiedzi, jak w uciążliwym teście psychologicznym, musiałam w ciągu dwóch sekund zdecydować, z którym bohaterem moich powieści chciałabym pójść na kolację. Gdyby zapytano mnie, z kim w ogóle chciałabym zjeść kolację, odparłabym natychmiast: z moją córką Paulą i z matką, Panchitą, dwoma duchami, które bezustannie krążą wokół mnie. Chodziło jednak o postać literacką. Nie potrafiłam odpowiedzieć od razu, czego domagał się prowadzący wywiad, bo napisałam ponad dwadzieścia książek i chciałabym zjeść kolację niemal ze wszystkimi moimi bohaterami, kobietami i mężczyznami. Kiedy jednak znalazłam czas, by to przemyśleć, doszłam do wniosku, że zaprosiłabym Elizę Sommers z *Córki fortuny*. Podczas mojego pobytu w Hiszpanii w 1999 roku z okazji wydania tej powieści jakiś bystry dziennikarz powiedział

mi, że jest ona alegorią feminizmu. Miał rację, choć szczerze mówiąc, nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

W połowie XIX wieku, w czasach rozkwitu epoki wiktoriańskiej, Eliza Sommers, nastolatka uwięziona w gorsecie, zamknięta w domu, pozbawiona dostępu do porządnego wykształcenia i w jeszcze większym stopniu pozbawiona praw, której przyszłość ograniczała się do małżeństwa i rodzenia dzieci, porzuciła bezpieczne ognisko domowe i wyjechała z Chile do ogarniętej gorączką złota Kalifornii. Żeby przeżyć, przebrała się za mężczyznę i nauczyła radzić sobie sama w hipermęskim otoczeniu, w którym dominowały chciwość, ambicje i przemoc. Pokonała niezliczone przeszkody, stawiała czoło wielu niebezpieczeństwom, by ostatecznie wrócić do swojego kobiecego stroju. Nigdy jednak nie założyła już gorsetu. Wywalczyła wolność i nie miała zamiaru z niej rezygnować.

Drogę życiową Elizy można porównać do emancypacji kobiet, które szturmem wtargnęły do świata mężczyzn. Musiałyśmy postępować jak oni, nauczyć się ich taktyki, rywalizować. Pamiętam czasy, gdy urzędniczki chodziły do pracy w spodniach, marynarkach, a niekiedy nawet pod krawatem, bo tylko wtedy traktowano je poważnie. Teraz nie musimy już tego robić, możemy korzystać z naszych uprawnień, nie wyrzekając się kobiecości. Tak jak Eliza uzyskałyśmy wolność i walczymy o jej zachowanie, poszerzenie i objęcie nią wszystkich. Właśnie o tym chciałabym opowiedzieć Elizie, gdyby poszła ze mną na kolację.

Feminizm zwykle budzi lęk, wydaje się bowiem bardzo radykalny albo jest interpretowany jako nienawiść do mężczyzn, dlatego zanim przejdę dalej, muszę wyjaśnić co nieco niektórym spośród moich czytelniczek. Zaczniemy od słowa „patriarchat”.

Moja definicja „patriarchatu” zapewne różni się trochę od tej z Wikipedii czy sugerowanej przez Królewską Akademię Hiszpańską. Pierwotnie słowo to oznaczało absolutną supremację mężczyzny nad kobietą, nad innymi gatunkami i całym światem przyrody jako takim. Ruch feministyczny podważył tę nieograniczoną władzę w wielu obszarach, ale w innych ma się ona równie dobrze jak tysiące lat temu. Mimo że zmieniono sporo dyskryminujących praw, patriarchat utrzymał się jako system ucisku politycznego, ekonomicznego, kulturowego i religijnego, przyznający władzę zwierzchnią i przywileje płci męskiej. Oprócz mizoginii (awersji do kobiet) system ten obejmuje rozmaite formy wykluczenia i agresji: rasizm, homofobię, klasizm, ksenofobię

oraz nietolerancję wobec idei i ludzi odbiegających od norm, które narzuca patriarchy. A narzuca je w sposób agresywny, wymaga posłuszeństwa i karze tych, którzy mają odwagę mu się przeciwstawić.

Na czym więc polega mój feminizm? Nie chodzi o to, co mamy między nogami, tylko o to, co mamy między uszami. To postawa filozoficzna i bunt przeciwko władzy mężczyźni. Sposób rozumienia relacji międzyludzkich i postrzegania świata, zaangażowanie na rzecz sprawiedliwości, walka o emancypację kobiet, gejų, lesbijek, osób queer (LGBTIQ+), wszystkich uciskanych przez system i tych, którzy czują się uciskani. „Jesteście mile widzianx”*, jak napisaliby dzisiejsi młodzi; im będzie nas więcej, tym lepiej.

W latach młodości walczyłam o równość, chciałam móc brać udział w męskiej grze, ale w wieku dojrzałym zrozumiałam, że ta gra to szaleństwo, które prowadzi do zniszczenia planety i tkanki moralnej ludzkości. Nie chodzi o to, by powiełać katastrofę, ale o to, by jej zapobiegać. Oczywiście, ten ruch ma przeciwko sobie potężne siły reakcyjne, takie jak fundamentalizm, faszyzm, tradycja i wiele innych. Przygnębia mnie, że po drugiej stronie barykady jest tak wiele kobiet, które boją się zmian i nie wyobrażają sobie innej przyszłości.

* Forma neutralna płciowo (obejmująca jednocześnie kobiety, mężczyźni i osoby niebinarne) – jedna z wielu możliwych do stosowania w języku polskim (przyp. tłum.).

Patriarchat jest niczym skała. Feminizm jest jak ocean – płynny, potężny, głęboki, zawierający w sobie nieskończoną różnorodność form życia, w ciągłym ruchu za sprawą fal, prądów, pływów, a czasami gwałtownych sztormów. I tak jak ocean, feminizm nigdy nie milknie.